

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

25

(Ciąg dalszy).

— Najpierw, aby mnie nie przepędzono i abym silnie stanął; następnie muszą mnie robotnicy szanować jako fachowego i pracowitego robotnika, który dba o swój byt. Takiemu, jak sądzę, łatwiej uwierzą i chętniej posłuchają jego rady i żaden nie bluźnie mi w oczy, że jako panu łatwiej sprzeciwić się fabryce i rządowi. A gdy raz zdobędę ich zaufanie, gdy moje ręce — pokazał swe szorstkie, namulone dłonie — nie będą się różniły od ich rąk, wówczas będzie iść nasza robota! — zaśmiał się.

— Doskonały plan i metoda — zachwyciła się Olga.

— Dlaczego nie powiedzieliście mi przedtem — mówiła Helena z wymówką — byłabym się zastoso-
wowała.

— Nie wiedziałem, że tak postąpię, ale rozejrzawszy się na miejscu, we fabryce powziąłem takie postanowienie. Zresztą metoda zależy od warunków, w których się pracuje. Będąc na waszym miejscu, koleżanko, starałbym się nawiązać nici zerwane aresztowaniem Kazi.

— A nie macie wiadomości o jej organizacji?

— Nie, koleżanko, ale dopytajcie się, z kim żyła, z kim się przyjaźniła, to nie jest tak dalece trudnem.

— Prawda... postaram się.

Jednak Paweł miał rację, mówiąc, że kobiety są bardzo dobre, gdy idzie o wykonanie polecenia, pomyślał Żalecki, patrząc na Helenę, lecz gdy zwrócił oczy na Olę, przyznał, że od reguły są wyjątki i tem chętniej poddał się uczuciu miłości, które go przepełniało.

Miał ochotę ukłęknąć przed nią, całować jej ręce, mówić jej o swej miłości bezbrzeżnej, o tęsknocie za nią, o swych pragnieniach i marzeniach.

Olga odciała z niego wzrok, a może przeczytała jego myśli, bo ni stąd, ni zowąd rumieniec oblał jej twarz rozjaśnioną, poruszyła się niespokojnie, jak ptak spłoszony i spuściła oczy.

— Czy nie mieliście wiadomości od Walczaka? — spytała Helena.

Żalecki oprzytomniał, trochę zdziwionemni oczyma popatrzył wokoło, bo tak był daleki od tego życia, a tak bliski Olgi i po krótkim milczeniu odrzekł:

— Nie, koleżanko... przypuszczam jednak, że w tych czasach albo przyjedzie, albo napisze.

— Skąd wnosicie? — odezwała się Olga.

— Mówiono mi, że pan Paweł wyjeżdża ze Szwajcaryi, a on nie jedzie do Polski z próżnemi rękami.

— Jeśli tak, to kolega Walczak będzie miał robotę — rzekła Helena — ale wiecie, tu duszno w pokoju, niebo się rozjaśniło, przejdźmy się.

Zgodzono się chętnie. Olga i Żalecki schodzili pierwsi ze schodów, Helena bowiem zatrzymała się, aby zamknąć drzwi.

— Koleżanko — prawie szeptem — czy wiecie, że jeszcze dwadzieścia jeden miesięcy i osiemnaście dni?

— Tak szczegółowego rachunku nie prowadzę — uśmiechnęła się zalotnie — ale wierzę wam na słowo.

— I już nie będzie żadnej zmiany, żadnej zwłoki?

— Nie będzie — podała mu rękę.

— Dziękuję — nachylił się i pocałował w rękę.

— O, b rzuje! — zaśmiała się Helena. — Nie, wolnicy, hołdujący przeżytych formom pokory! Czy wam nie wstyd?

— Koleżanka Borwicz przy swoich dywanach zachorowała na daltonizm — śmiał się Żalecki — wszystko jej się dwoi, bo niema niewolników, tylko niewolnik.

— Nieszczęsny towarzyszu, skrusz twe pęta! — zawołała z patusem.

— Nie żałujcie mnie, bo będę wolny i szczęśliwy — zaśmiał się.

— Olgo! Czy to prawda?!

— Wszak wiesz Heleno — mówiła uśmiechnięta i rozjaśniona — „w naszych stosunkach obowiązuje tylko i jedynie prawda“ — powtórzyła słowa Żaleckiego i spojrzała na niego.

— Ja się tego domyślałam... Czy chcecie, ażeby was pobłogosławiła?

— Za wcześniej — zaśmiała się Olga — przyjdzie czas i na to. Ciebie poproszę na drużkę.

— Bardzo dobrze, a kto będzie drużką?

— Byle nie Walczak — uśmiechnął się Żalecki.

— A to dlaczego? — zawołała Olga.

— Podobno są kanoniczne przeszkody, że drużbowie nie mogą się pobrać.

— A to skąd ten koncept? — powiedziała zaczerwieniona Helena.

— Tak sobie... z powietrza wiosnianego.

— Chyba, że z powietrza — mruzczała Helena nachmurzona.

— Idziemy w Aleje Ujazdowskie — mówił Żalecki, skłęczając Bracką na Plac Aleksandra — „chcę powietrza, chcę stepu do woli“.

— Jesteście dziś poetycznie nastrojeni — zaśmiała się Helena.

— Mam wszelkie powody po temu. Najpierw jestem szczęśliwy, że z wami idę.

— Ze mną?

— I z koleżanką Wojtyrską; następnie czuć wiosnę, wreszcie Mo-kale ponieśli klęskę na morzu, dostaną jeszcze łupnia na lądzie i zawita wiosna ludów, wiosna wolności naszej.

Wszczęli żywą rozmowę o wojnie, o polityce, o możliwej mobilizacji i czas mijał im szybko i wesoło.

Jakiś przechodzący spytał Żaleckiego o godzinę.

— Za dziesięć piąta.

— Co mówicie? — zawołała Olga, a sprawdzwszy na swym zegarku, dodała — muszę wracać natychmiast, czekają na mnie z obiadem.

— Dwie minuty nie zrobią różnicy — uśmiechnął się — otóż, gdybyście mieli coś równie ważnego, idźcie wprost do Komara.

— Dobrze. Nie wiecie na czem skończyła się wyprawa do Łodzi?

— Nasza się powiodła, a ten pan wczoraj był jeszcze na miejscu... czy bywa u waszej ciotki?

— Tak jest.

— A jaki jest względem was? — spytał podejrzliwie.

— Jak zwykle w salonie — odpowiedziała spokojnie, nie chcąc budzić zazdrości.

— Do was można pisać?

— Naturalnie; i przyjdź możecie. Jestem tak wolna, że nawet mam klucz od zatrasku — pokazała mały kluczyk — ale muszę już jechać — skinęła na dorożkę — do widzenia... a kiedy?

— U mnie w niedzielę o jedenastej.

— Będę. Do widzenia.

Żalecki tak się wpatrzył w dorożkę odjeżdżającą z Olgą, że Helena musiała zawołać:

— Chodźcie kolego! Czy wy tacy zakochani?

— Bardzo.

XI.

Rotmistrz Bolcew przyjechał w niedzielę do Warszawy i dowiedział się telefonicznie od Jana, że Olga, wyszedszy przed jedenastą rano, wróciła dopiero po piątej popołudniu, tłómacząc się przed ciotką, że była z koleżanką, a na pytanie Sudkiewicza, czy i z kolegą, nie odpowiedziała, tylko się zmieszala.

Co to znaczy? — rozmyślał Bolcew, spacerując w gabinecie z papierosem w ustach; zapewne była w kościele, potem poszła na wystawę obrazów, spotkała się z koleżanką, to możliwe, ale dlaczego zarumieniła się, czy zmieszala się, że był tam kolega?...

Żalło zazdrości ukłuło go. A jeśli ona naprawdę chodzi na schadzki z kochankiem? Więc względem niego, który chce się z nią żenić, jest zimną, nieprzystępną, obrażającą się, a dla tego drugiego ma czułe słowa, uściski, oczy...

I kto jest ten drugi? Dlaczego ona wybrała tamtego, a nie jego?

Stanął przed lustrem i obejrzał się. Istotnie był przystojnym mężczyzną, włosy czarne, bujne, wysokie czoło, rysy twarzy regularne.

Nie, on tego upokorzenia nie zniesie, aby ona go odrzuciła... on gotów w piekło pójść za nią, a ona zajęwie drwiła z niego, naśmiewała się z jego zakochanej miny, z jego słów czułych...

Czuł rosnący gniew i zaciętość. Z bezsilnej złości przygryzał usta, szarpał włosy, gryzł palce...

Stopniowo uspokajał się i błysnęła mu myśl, że najpierw Jan mógł źle zrozumieć zmieszanie Olgi, może się wcale nie zmieszala, a może z innych powodów, czyż taki lokaj umie spostrzegać?

Następnie, mogła się nawet zmieszać, bo to pytanie dotknęło jej niewinności, ona przecież taka czysta, taka dziewicza, sam to widział na balu i u nich, czy ma nie wierzyć własnym oczom?

Pójdzie dziś do Sudkiewiczów i przekona się o prawdzie; po co ma się truć niepewnością i podejrzeniami?

Wieczorem zadzwonił i spytał:

— Panie są? — a otrzymawszy potakującą odpowiedź, rozkazał: — Idź, zamelduj, masz za wiadomość dzisiejszą, — wsunął mu pieniądze.

— A pan rotmistrz? Jakże mi miło.

— Przyszedłem zaraz po przyjeździe.

Weszła Olga.

— Jakiż rezultat z podróży? — pytała Sudkiewiczowa. — Spodziewam się, że jak zawsze świetny.

— Tym razem nieszczęśliwie się powiodło. Istotnie nici przerwały się nagle, widocznie domyślono się, że jesteśmy na tropie. Ale nie udało się dziś, uda się jutro. Cóż u pań słychać?

— Siedzimy w domu samotnie, — westchnęła pani, — czekam wiadomości od męża, czy dostał łóżę na operę dzisiejszą.

— Więc panie mają zamiar wyjść?

— O ile będzie łoża i pana zapraszamy.

— Bardzo obowiązany, a pani — zwrócił się do Olgi — dzisiaj dugo spacerowała?

— Tak jest... spóźniłam się nawet na obiad, za co o rzymałam burę od cioci.

— No, znów bura nie... ale uwaga, bo rozumie pan rotmistrz, że są potrawy, które nie mogą czekać bez utraty smaku.

— Co prawda, nie rozumiem się na tem, ale wszystkie potrawy musiałyby czekać... na moją żonę.

— Tak się to mówi, póki się jest starającym.

— O, ja zawsze będę taki.

— Zobaczymy, zobaczymy, — uśmiechnęła się.

— Pani zapewne była na wystawie... czy jest co nowego? ładnego?

— Nie byłam... spotkałam koleżankę, i tak gawędziłyśmy, że zapomniałam o obiedzie.

— Zapewne z uniwersytetu, — uśmiechnął się.

Już pani Sudkiewicz otworzyła usta, by potwierdzić, gdy Olga przerwała:

— Koleżanka z pensjonatu petersburskiego.

Rotmistrz zbyt często prowadził śledztwo, by nie spostrzegł ruchu ciotki. Coś w tem jest? coś ukrywa?

— Całe szczęście dla nas, — zaśmiał się dobroduszenie, — że to nie był kolega, mogła pani przyprowadzić cały obiad o strąte smaku.

— Ach, jacy ci mężczyźni niezdolni — zrobiła pani minę niezadowolenia — tę samą uwagę zrobił mój mąż. A gdyby się która z nas spotkała z kolegą, czy nie wolno? czy my niewolnice? A wy nie spotykacie się z koleżankami?

— Ależ wolno... wolno... zażartowałam.

— Zawsze jakieś podejrzenia... domysły — groziła pani.

Olga w obawie, by nie narazić Heleny, zajętej we fabryce, a przyjaźniącej się z nią, powiedziała o pensjonacie, a teraz zdjął ją strach o Żaleckiego i rzekła z miłym uśmiechem:

— Ciocia niepotrzebnie się oburza na pana rotmistrza i ja uważam za niewłaściwe spędzać gdzieś po ulicach kilka godzin z kolegą, zamiast zaprosić go do siebie, do domu, a swoją drogą utrzymuję z ciocią, że spotykać się ze znajomymi czy kolegami, każdej z nas wolno.

— Pani t lko moją myśl lepiej wyraziła! Ach, jaka pani mądra.

— Czy dlatego, że pańską myśl rozwinięłam? — zażartowała swobodnie.

— Jestem głupi, przyznanie maże winę — uderzył się w piersi.

— I ja nie inaczej rozumiem — wmieszała się pani — nasz stosunek do mężczyzn, aniżeli ty, Olgo; szło mi tylko o niekrepowanie naszej swobody towarzyskiej.

— Gdyby to nie była koleżanka, która zresztą czekała na swego wuja czy stryja, a był nią kolega, byłabym go napewno zaprosiła tutaj, do cioci.

— Dlaczegoż nie do siebie? Wolno ci przyjmować gości, bez krepowania się salonem.

— O, to pani ma zupełną wolność — zauważył rotmistrz.

— Najzupełniejszą — dodała pani — ma swój elegancki pokój, w którym może przyjmować i klucz od zatrasku.

— No, no, i klucz? — dziwił się — a który to pokój?

— Nie widział go pan? — zawołała pani, chcąc się pochwalić urządzeniem pokoju — nie mogę tam pana poprosić bez pozwolenia Olgi.

— Niech pani raczy pozwolić — odezwał się błagalnie.

— Ależ owszem, proszę.

Przeszli do pokoju Olgi, bardzo czystego, zaciśnionego, przepełnionego zapachem wiosennych kwiatów.